BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 25. Niedziela, dnia 7-go grudnia Rok 191

PRZEZ BOLEŚĆ I MIŁOŚĆ.

OBRAZEK Z ŻYCIA NAPISAŁ JÓZEF ROGOSZ.

I.

Nigdy nie zapomnę tego dworu białego, który, otoczony wieńcem topoli nadwiślańskich, stał za wsią, na wzgórzu, i przeglądał się w zwierciadle stawu obszernego, co się u stóp pagórka roztaczał.

Dworek był mały; od frontu miał tylko cztery okna, po dwa z każdego boku, w środku ganeczek na dwóch słupach dębowych, na który prowadziły drzwi także dębowe, w górnej części oszklone. Musiał on być bardzo stary, skoro strzecha, odkąd zapamiętam, była zawsze czarna, a od strony północnej pokrywał ją nawet mech zielony, pośród którego tu i owdzie wyrastały spore roślinki.

Mimo to dworek wyglądał schludnie, mama bowiem pilnie przestrzegała, żeby jego ściany były zawsze bielusieńkie. Ileż to razy, gdy sługa czasu nie miała, mama wziąwszy ręczny pędzel mularski, bieliła nim sama miejsce przez słotę zbrukane. Bardzo mi się to podobało, więc też mówiłam sobie w duchu, że gdy dorosnę a wyjdę zamąż, tak samo będę postępowała u siebie.

Za stawem, do najbliższej wsi, leżącej o pół mili od Sławomyśla, wiodła droga, wysadzona po obu bokach włoskiemi topolami. Długa była niezmiernie; obie linie drzew przy jej końcu całkiem łączyły się z sobą. Mówiono, że ta droga była prześliczna, ja jednak, mimo, iż wszystko w Sławomyślu miało dla mnie urok niewysłowiony, nie powiem, żeby była piękna, a najmniej, żeby była przyjemna. Przeciwnie, wydawała mi się zawsze sztywna, obojętna, smutna. I nieraz w duchu się pytałam: czemu na jej końcu nie leży cmentarz? O ileż piękniejsze byłyby przy naszym domu owe topole rozwiane, o konarach rozłożystych a koronach wspaniałych, które dla mnogiej ptastwa rzeszy służąc za siedzibę bezpieczną, chroniły nas w lecie od skwaru słonecznego, a podczas wichrów zimowych wydawały szum energiczny, męski, który mnie dreszczem przejmował. I wolałam także owe dęby ciemno-zielone, które nakształt rycerzów zaklętych stały w szeregu nad łąkami, niż topole włoskie wiecznie wymuskane, z liściem rzadkiem, ze szczytami schnącemi, o wyglądzie cmentarnym...

Mojemu ojcu było na nazwisko Walecki, na imię Stanisław. Mamie było na imię Julia. Ojciec pochodził z rodziny starożytnej, senatorskiej, niegdyś nawet bardzo bogatej, która atoli w ciągu wieków, miasto piąć się coraz wyżej, spadała coraz niżej i o mało z gminem się nie zlała. Była także bliską wygaśnięcia, na szczęście jednak Bóg dał ojcu syna, Władysława, który mógł dźwignąć ród Waleckich.

Mama pochodziła z dobrej rodziny szlacheckiej. Brat Władyś był ode mnie starszy o pięć lat.

Mamę pamiętam od najwcześniejszej młodości; lepiej, niż ojca, niż brata, lepiej nawet, niż starą Warzbińską, która mnie wychowała. Widzę ją wszędzie: przed domem, nad stawem, w ogrodach, lub spieszącą do stajni, gdy krowy dojono. Smukła, piękna, poważna, zawsze czyściutko ubrana, krzątała się od świtu do nocy koło gospodarstwa kobiecego, a chociaż nigdy nie krzyczała, sługi bały się jej jak ognia, ale mimo to mówiły, że była dobrą panią. Nikt by nie uwierzył, jak mnie to cieszyło; przecie to była moja mama...

Lubo w tej chwili pamięć bardzo wysilam, nie mogę sobie przypomnieć, by do ósmego roku życia mama kiedy dłużej ze mną rozmawiała. Zwykle dolatywały mnie tylko jej słowa urywane a suche: „Kazia, bądź grzeczna!" — „Kazia, nie zbliżaj się do stawu, bo dostaniesz!" — „Kazia, idź zaraz do Warzbińskiej!" — Musiałam być dzieckiem bardzo niedobrem, skoro mnie mama nie pieściła i nigdy nie pocałowała. Kładąc się spać, prosiłam Boga, żeby mnie we śnie nauczył, jak powinnam postępować, aby sobie na jej pochwałę zasłużyć, nazajutrz jednak wstawałam niezmieniona, nawet zamiast być lepszą, musiałam być gorszą, skoro mama na sam mój widok z daleka wołała:

— Czemu mi się tu plączesz! Idź zaraz do Warzbińskiej!

Przestraszona biegłam do oficyn, gdzie w malutkim pokoiku obok kuchni czeladnej mieszkała moja sędziwa piastunka.

Wyniańczyła ona naipierw moją babkę, potem mamę, w końcu mnie. Miała lat dużo, bardzo dużo, może siedmdziesiąt, może nawet więcej, albož ja wiem?... Wzrok miała już przyćmiony, ale słuch jeszcze ostry i pamięć wyborną.

Ojca z owych lat doskonale sobie przypominam. Latem chodził w słomianym kapeluszu i zawsze trzymał w ustach fajeczkę na krótkim cybuchu; w zimie nosił kożuszek i czapkę futrzaną. Tatko, tak samo, jak mama, zajmował się cały dzień gospodarstwem,

ale bądź miał czasu więcej, bądź też nie widział we mnie tych błędów, co ona, bo ilekroć ujrzał mnie, koło oficyn przechodząc, zaraz wołał, żebym się zbliżyła, brał mnie na ręce, sadzał na kolana, pieścił, całował.

Jam go obejmowała za szyję, radość niewysłowiona ogarniała moją duszę, byłam nad wszelki wyraz rozradowana i szczęśliwa.

Dziś jeszcze, choć już tyle lat od owych chwil ubiegło, gdy je sobie przypomnę, łzy prawdziwego szczęścia i rzewnej wdzięczności cisną mi się do oczu. Ale chwile takie nie trwały długo.

Ledwie mama zobaczyła nas kiedy razem, zaraz wołała:

— Stasiu! Co robisz! Roztkliwisz ją, rozmazgaisz i potem nie damy sobie z nią rady. W naszem położeniu tylko by tego brakowało!

Wtedy tatko zaraz z kolan mnie zsadzał i, w czoło pocałowawszy, mówił:

— Idź, dziecię.

Uciekałam czemprędzej do oficyn, ale nazajutrz znów czatowałam na tatkę. U Warzbińskiej spałam. Dzień spędzałam bądź na dworze, bądź w jej izdebce, a tylko na obiad i na wieczerzę przychodziłam do rodziców. Wtedy trzeba się było zachowywać cichutko, a ręce trzymać na stole. I nie dziwię się mamie, że tego wymagała, bo gdybym i ja była tak niespokojna a krzykliwa, jak Władyś, przy stole niktby nie wytrzymał. Ale jemu mama więcej pozwalała. Przecie to był chłopiec, jedynak, i miał kiedyś na swych barkach dźwignąć całą tradycyę wielkiego rodu Waleckich.

Ojciec, od lat kilkunastu, był dzierżawcą. Niegdyś posiadał w górach małą wiosczynę, ale tę musiał sprzedać. Ziemia w Sławomyślu nie należała do najlepszych, to też w domu naszym nie było dostatków. Jedliśmy cobądź, ubieraliśmy się jakbądź, z wyjątkiem mamy, która miała zawsze modne stroje. Ja do ósmego roku życia nawet nie wiedziałam, jak małe trzewiczki wyglądają. W lecie chodziłam zawsze boso, na zimę dostawałam buty. Były wprawdzie ciężkie, za to takie mocne, żem ich nie mogła podrzeć.

Jeślim była kiedy głodna, a zdarzało się to, niestety, dość często, nie byłabym tego mamie powiedziała za żadne skarby świata. Wtedy biegłam zawsze do Warzbińskiej, która chowała dla mnie to owoce, to chleb, to mleko. Starowina z wielką radością wyjmowała specyały, a kiedym z apetytem je zajadała, mówiła, dobrodusznie się uśmiechając:

— Jedz, moja dzieweczko, jedz!... Młody więcej potrzebuje, bo się wybiega i rośnie...

Władyś spał w pokoju mamy. Z początku ona go uczyła, potem wiejski nauczyciel. Mnie nikt nie uczył. Ale słyszałam, że jak ósmy rok skończę, pójdę do klasztoru.

Ciekawam była zobaczyć, jak klasztór wyglądał, a bałam się go, sama nie wiedząc, czemu.

II.

Władyś mało się mną zajmował. Pochodziło to prawdopodobnie stąd, że nie mieszkaliśmy razem, co poczytywałam za rzecz naturalną, bo przecie on był chłopcem a ja dziewczynką. Czasem przybiegł pod oficyny, chwycił mnie bądź w pół, bądź za ręce, okręcił w koło kilka razy i zwykle tak puszczał, żem na ziemię jak długa padała. Wtedy śmiał się serdecznie, choć mnie najczęściej w oczach łzy się kręciły. Nie był to zły chłopiec, lecz bardzo pusty.

Jego nieodstępnym towarzyszem był Leoś, syn zamożnego gospodarza ze Sławomyśla, który na końcu wsi miał zagrodę dobrze zbudowaną a dokoła niej czterdzieści morgów pszennej ziemi. Nazywał się Zieliński, a że pochodził ze szlachty chodaczkowej, więc go powszechnie „panem" Zielińskim nazywano. Nawet mój tatko i ksiądz proboszcz tak go tytułowali, a jedna tylko mama, gdy do niego mówiła, używała trzeciej osoby...

Za to jego syn był dla nas wszystkich tylko Leosiem.

Ojciec posyłał go do szkółki miejscowej, a gdy Leoś skończył ją ze stopniem celującym, odwiózł go sam do gimnazyum, które znajdowało się w najbliższem mieście obwodowem, o pięć mil od Sławomyśla. We dwa lata później (Leoś był starszy od Władysia) brat mój poszedł także do gimnazyum i odtąd już razem do szkół uczęszczali.

Podczas wakacyi Leoś był codziennym gościem w naszym domu. Zawsze bardzo stateczny, ilekroć zobaczył, że Władyś okręca mnie i na ziemię rzuca, przybiegał z obroną, mówiąc:

— Miałbyś rozum, Władku! Przecie to dziecko... może sobie rękę złamać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

RORATY.

Śnieżna wichura. Ciemno. Bez śladu ni drogi
Błądzi po puszczy głuchej podróżny bezdomny;
Z boru idzie ku niemu jęk kajdan, — ogromny
Jak skarga ludu w męce. — Ach, czy to sen błogi:

Pielgrzym widzi sad w kwieciu i stado i stogi,
Pod lipą rozłożystą z bierwion domek skromny...
— Lecz usłuchał złej rady: w jasny ranek pomny
Wyruszył za ocean, po złoto. Los wrogi

Pastwił się nad wychodźcą: zmarła córka, żona.
— Dziś powraca sierota w ból i żal bogaty;
Śnieżyca, zła macocha, tuli go do łona,

Białą trumnę puszystą da mu zamiast chaty.
— Wtem uniósł się nad wichry łagodny głos dzwona,
W dali błysło, to kościół; woła na roraty!

Inpol.

WYCHOWANIE DZIECI.

(Dokończenie.)

A jakże to umiarkować pokarm dziecku, które nie umie powiedzieć, czy głodne, czy syte. Jest na to sposób, tylko trzeba dobrej woli matek. Oddawna uczeni lekarze wypróbowali, że dziecko przez pierwsze kilka tygodni do 2 miesięcy wieku potrzebuje pokarmu co 2 godziny, bo tyle czasu zużywa na strawienie go w żołądku. Potem, kiedy już więcej naraz napoić się może, wystarcza karmienie co 3 godziny, gdyż tyle czasu na strawienie potrzeba. Jeżeli matka obowiązkowo musi się oddalić od dziecka na czas dłuższy, można napoić je mlekiem przegotowanem, osłodzonem i dobranem wodą. Maleńkim dzieciom daje się na jedną łyżkę mleka trzy łyżki wody, potem stopniowo dopiera się mleka, a ujmuje wody, tak, że 10 tygodniowe niemowlę może dostawać mleko na pół z wodą, poczem bierze się więcej mleka

a mniej wody, aż dochodzi się do tego że półroczne dziecko poi się samem mlekiem. Mleko mieszane z wodą powinno być zawsze przegotowane i cokolwiek osłodzone.

Sześcio lub siedmiomiesięcznemu dziecku można zacząć dawac rozgotowaną drobną tatarczaną kaszkę, bułkę rozmoczoną w mleku, kleik z jęczmiennej kaszy, ale bez soli, jajko ugotowane na miękko, wylane na miseczkę i cokolwiek osolone.

Wszelkie kluski, kartofle, kapustę, chleb razowy, mięso zostawić na trzeci rok życia. Najpóźniej zaś dawać surowe owoce, bo te są dla małych dzieci niestrawne, a szczególniej, że nie można ustrzedz się niedojrzałych, które sprowadzają biegunkę.

Skoro dziecko podrośnie, nie należy go za prędko sadzać ani stawiać na nóżki, lecz cierpliwie czekać, póki sił nie nabierze. Kiedy maleństwo podnosi się i siada o swojej sile, bacznie uważać trzeba, aby mu się nic złego nie stało.

Nie sadzać dziecka bez dozoru na łóżku ani w kolebce, ale najlepiej już na ziemi, aby mu tylko co podłożyć. Zwłaszcza uważać należy na wystające drzazgi i gwoździe w podłodze, gdy dziecię zaczyna się czołgać, aby się nie skaleczyło. Gdy podnosi się na nóżki, trzeba usuwać wszelkie naczynia z ław i stołu, aby na siebie ściągnąć ich nie mogło; nie stawiać na ziemi szaflików, ani saganów z warzą dla trzody, bo znane są liczne wypadki oparzenia tym sposobem. Wyjmując zaś z kolebki, okręcić dziecko chustką lub wełnianym fartuchem, aby rozgrzane w pościeli nagle nie ochłodło, a wynosząc w lecie na dwór, okrywać główkę czepeczkiem lub chusteczką, chroniącą od przepalenia. W pole do roboty zabierać zawsze kobyłę, aby dziecko w zawieszonej płachcie przespać się mogło; nie kłaść dziecka w bruździe, gdzie grozi mu wilgoć, pokąsanie od psa, świni lub żmii.

Starsze dzieci, zwłaszcza wychodzące już bez opieki z izby, należy odpowiednio ubierać: w lecie lekko, w zimie cieplej, a szczególniej starać się, aby miały obuwie, bo bose chodzenie po zimnie i wilgoci jest dla zdrowia szkodliwe.

Jednej ważnej rzeczy matka nigdy zapomnieć nie powinna, a tą jest, że dziecko prócz ciała ma też duszę, którą odpowiednio kształcić jest obowiązkiem. Rozbudzanie duszy i umysłu dziecka objawia się przez to, że gdy ono mówić już umie, to zaczyna się zastanawiać nad otaczającym światem i wypytuje rodziców i starszych, co to lub owo znaczy, do czego służy i z szego się robi? Takie pytania powinny rodziców bardzo cieszyć, bo znaczą one, że w dziecku rozum się rozwija. Wtedy nie wolno zrażać dziecka do zadawania pytań; nie wolno odpędzać go lub gniewać się nań: „daj mi pokój", „idź sobie", „nie zawracaj głowy", jak często rodzice mówić zwykli. Przeciwnie, trzeba koniecznie cierpliwie tłómaczyć i starać się tak objaśnić, aby dziecko mogło dokładnie zrozumieć, o co chodzi. Jeżeli nie potrafimy dziecku czego wytłómaczyć, bo sami tego nie rozumiemy, trzeba się do tego otwarcie przyznać, i postarać się dowiedzieć o te rzeczy z książek lub od dobrych ludzi, a potem dopiero dziecku wytłómaczyć. Takie postępowanie wskaże dzieciom drogę do prawdomówności i ząchęci je do pracy umysłowej, do szukania wiedzy w nauce.

Przez takie tłómaczenie kształci się umysł dziecka, przygotowywa do myślenia i zastanawiania otrzymanych w głowie wrażeń i objaśnień. Od rzeczy widocznych, namacalnych przechodzi się powoli do rzeczy, które sobie wyobrazić trzeba, t. j. takich, jakich się nigdy nie widziało.

Bardzo pożyteczną zabawą dla dziecka jest ołówek i papier lub, co taniej kosztuje, tabliczka i szyfer, aby sobie rysować mogło, przez co wprawia się ręka i oko. Nad taką zabawą trzeba czuwać, t. j. dawać od czasu do czasu wskazówki, jak i co ma dziecko rysować. W szóstym, a najdalej siódmym roku życia należy dziecko nauczyć czytać i pisać. Przytem głównie starać się trzeba o to, aby dziecko koniecznie rozumiało każdy wyraz, który przeczyta, umiało go napisać, a potem przeczytane kawałki opowiadać swojemi słowami. Wtedy dopiero dziecko będzie miało prawdziwą korzyść z czytania, bo będzie mogło samo uczyć się z książek.

Wychodząc z tejże zasady, co wyżej, iż człowiek ma duszę nieśmiertelną, musimy się starać rozbudzić i wykształcić ją w dzieciach. Małe dziecko ma tylko potrzeby cielesne, bo duszyczka jeszcze w niem drzemie nieocknięta.

Matki zadaniem jest czuwać nad objawami budzącej się duszy. Wszelkie u dzieci wybuchy żalu, gniewu, uporu, pieszczot są potrzebą duszy. Dobre skłonności należy pielęgnować, złe hamować wypada. A więc maleństwo uczyć trzeba, aby dzieliło się chlebem, czy jakim przysmakiem z matką i rodzeństwem; niech uszczypnie choć odrobinę i da drugiemu, aby przywykało do wstrzemięźliwości, miłosierdzia i współczucia, nie jak głupie matki mówią: „Nie daj", „schowaj", ucząc dzieci skąpstwa.

Jeżeli dziecko się stłucze lub upadnie, nie trzeba nigdy bić podłogi lub ławki, aby nie wytwarzać w niem gniewu i nierozumnej zemsty. Przeciwnie, dziecko należy pogłaskać, pocałować, utulić, a przywyknie do łagodności i cierpliwego znoszenia bólu. Broń Boże, nie kazać bić psa, kota, brata lub, co się nieraz zdarza, matki albo ojca, chociażby w żartach, bo dziecko potem zapomina się i traci szacunek. Jeżeli starsze nawet dziecko uprze się nierozumnie, nie trzeba gwałtem przełamywać tego uporu, bo to źle oddziaływa. Przeciwnie ustąpić mu nieznacznie; niech lepiej to, co zrobi przez upór, na złe mu wyjdzie, a własną szkodę lepiej popamięta, niż bicie. Wogóle wszelkiego bicia należy bardzo unikać, choćby dlatego, że i dorosły człowiek w uniesieniu zapomnieć się może i skarać za surowo. Małe dziecko, gdy się uprze, można zabawić i zająć czem innem tak, że zapomni, czego chciało. Starszemu dużo wytłómaczyć można.

Nie trzeba rozbudzać w dzieciach łakomstwa, przepychając jedzeniem, ani zazdrości, wskazując, że rówieśnicy mają piękne ubrania, ani przekupstwa, obiecując za robotę lub naukę pieniądze.

Każdą kradzież, każde przywłaszczenie sobie cudzej własności surowo skarcić, a niech Bóg broni posyłać na cudze pole lub paśnik.

Nie wyśmiewać się nigdy ze starych lub niedołężnych. Zawsze dawać dobry przykład zachowaniem przykazań Boskich i ludzkich.

Od maleńkiego uczyć prosić o wszystko i dziękować rodzicom, a potem przenieść te prośby i dziękczynienia w modlitwie do Boga. Kazać żegnać się po wstaniu i przed spaniem i nauczyć krótkiej modlitewki, a potem dopiero pacierza.

Trzy-, czteroletnie dzieci można brać z sobą do kościoła, o ile ten jest blisko, i w odpowiednią pogodę, tj. nie w czasie mrozu lub upału. Nie chodzić z dziećmi w wielki tłok, bo nietylko, że w razie jakiegoś wypadku groziłoby to zaduszeniem, ale wogó-

le dziecku niezdrowo oddychać powietrzem, zagęszczonem oddechem tylu ludzi. Najlepiej pójść z dzieckiem do kościoła w dzień powszedni, gdy ludzi niewiele; można mu wtedy pokazać ołtarze i księdza odprawiającego nabożeństwo. Nie trzeba jednak nigdy zabierać dzieci na nabożeństwo żałobne, gdy nieboszczyk stoi w kościele, lub gdy obecne są osoby, które go dozorowały w chorobie, często zaraźliwej. Biorąc z sobą dzieci do kościoła, trzeba im tłómaczyć, że idzie się pomodlić: podziękować Bogu za zdrowie, poprosić o chleb dla siebie i innych; objaśnić, że wybierając się do domu Bożego, należy się umyć, uczesać ochędożnie, przyodziać, ale nie koniecznie w nową sukienkę, którą rówieśnice mają podziwiać.

Z czasem, gdy dziecko zaczyna więcej pojmować, trzeba mu opowiadać, co znaczą słowa pacierza, aby ich bezmyślnie nie powtarzało. Idąc i wracając z kościoła, tłómaczyć nabożeństwo, sakramenta, obrządki, jakie się odbywały, znaczenie świąt Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy i innych. Dziesięcioletnie dziecko można już uczyć katechizmu i przygotować do spowiedzi i Komunii świętej.

Aby poprowadzić wychowanie dzieci, jak należy, trzeba się tego uczyć, a skądże ma prosta wiejska kobieta nabrać wiadomości ku temu potrzebnych. Wskazówek niezbędnych do dobrego wychowania dzieci nabyć można z książek odpowiednich, które pilnie i z uwagą czytać należy, a przy sposobności radzić się w tym względzie rozumnych i wykształconych matek i nauczycielek.

O ziołach leczniczych.

(Ciąg dalszy.)

4. **Krwawnik**, ziele rodzaju zrosłogłówkowych, działu promienistych, także pod nazwami „Złocień" i „Żeniszek" znane (Achillea Millefolium, Schafgarbe), prawie wszędzie około dróg, na miedzach i łąkach, mianowicie też na słonecznych wzgórzach trafiające się, do 75 ctm. wysokości dochodzące, jako środek wyśmienity przeciw brakowi krwi, blednicy używany. Nadto przeczyszcza krew, spędza wyrzuty skórne i pomaga w chorobach gośca, wątroby i śledziony a nawet w tyfusie i w chorobie raka, goi krwawnice (hemoroidy). Postacią swą nieokazałą i prostaczą nie wzbudza zgoła tego szacunku, na który niezaprzeczenie zasługuje.

Opis: Korzeniak z wypustkami pełzającemi, łodyga prosta, pojedyńcza lub rozgałęziona, jasno zielona lub czerwonawo-brunatna, liście pierzaste, piórka listkowe pierzasto podzielone, miękko włosiste, tak samo jak i łodyga; główki kwiatowe białe lub różowo-białe, małe, ale liczne stoją w gęstych, wierzchołkowych baldaszkogronach. Kwitnie przez całe lato aż do późnej jesieni. Młode listki używają też na kuracyę wiosenną.

5. **Płucnica**, mech islandzki (Ietraria islandica, Isländische Flechte). Roślina, należąca do gromady liszajów, niewłaściwie mchem zwana. Rośnie u nas na suchych obszarach puszcz sosnowych, ale nazwa wskazuje na jej prawdziwą ojczyznę, Islandyę, gdzie swem plechowatem, krzaczastem ciałem pokrywa wielkie obszary ziemi a służy ludziom i zwierzętom na pokarm. Płucnica stosowana bywa jako lekarstwo domowe przeciw suchotom, chrypce i kurczowemu kaszlowi (koklusz), jako też przeciw biegunce, dolegliwościom kiszek i odźrze (Masern) a tym, którzy ciężką chorobą osłabieni nie znoszą jeszcze zwykłych potraw, również matkom w błogosławionym stanie zostającym, służy na pokarm.

Opis: Roślina się składa z blaszek chrząstkowatych, lśniąco-zielonawo-brunatnych, na spodku białawych a u nasady krwisto czerwonych.

6. **Płucnik**, miodunka (Pulmonaria, Lungenkraut). Zioło równie, jak płucnica, w chorobach piersiowych, chrypce i katarach, w krwiopluciu, krwiotoku i zapaleniu gardła używane, dochodzi do 30 ctm. wysokości. Rośnie w cienistych lasach liściastych i na wilgotnych miejscach. Należy do rodzaju ogórecznikowych.

Opis: Poznać można płucnik po białych planach na liściach, które są szerokie. Kwiaty są lejkowate, wprzód czerwone, później ciemno-modre a stoją na wierzchołkowych skrętkach.

7. **Pomornik**, kupalnik (Arnica, Wolhverleih). Zioło do rodzaju zrosłogłówkowych, działu promienistych należące, do 60 ctm. wysokości dochodzące, rośnie przeważnie towarzysko na torfiastych i górzystych łąkach, mianowicie też w górach Harcu, Tatrach i Alpach. Napar kwiatów i korzenia pije się przeciw nerwowej febrze, kurczom, porażeniom, żylakom, tudzież na odtrutkę przez opium. Wymywa się też świeże rany rozcieńczoną tynkturą z sproszkowanego korzenia a przy oparzeniach, zgnieceniach, stłuczeniach, zmiażdżeniach okłada się okaleczałe członki chustką pomaczaną w tej tynkturze. To samo czyni się w bólach krtani i brzucha i kurczach żołądka. Przy zaburzeniach krwi zaś, krwiotoku, przy gościu, podagrze, puchlinie wodnej i bólach w plecach naciera się nią ciało. Nazwa „kupalnik" wywodzi się od staro-słowiańskiego słowa „kupała", co znaczyło słońce. Kształt dużych pomarańczowo-żółtych, kółkowatych kwiatów ma podobieństwo do kręgu słonecznego.

Opis: Korzeniak pogięty, garbaty, odgryziony, brunatny, korzonkami cienkimi obrośniony, liście korzeniowe rozetkowe, podłużno-opaczno-owalne, całobrzegie, siedzące z nerwacyą równoległą, na wierzchu nieco włosiste; łodyga pojedyńcza, stryfiasta, omszona nosi przeważnie tylko dwie pary przeciwległych liści mniejszych od korzeniowych a jeden do pięciu kwiatów pomarańczowo-żółtych, które wyrastają z kącików liści. Okrywa ich gruczołowato-puszasta ma kształt dzwonka a składa się z listków w dwóch rzędach; nasienie jest podłużne, omszone, czopem niciowatym pokryte.

8. **Żywokost** (Symphytum, Beinwell, Schwarzwurz). Jest to roślina, należąca do rodziny ogórecznikowatych. Dochodzi do 60 ctm. wysokości. Rośnie na mokrych łąkach, mianowicie pod górami leżących, nad rowami i strumykami. Korzeń jej kłębiasty, gruby, zewnątrz czarny a wewnątrz biały, śluzowaty, jest znakomitem lekarstwem na rany, złamane i próchniejące kości, zatwardziałe nabrzmienia, wrzody i krwią nadbiegłe stłuczenia. Stosuje się okładki w wywarze zmaczane. Świeży sok tamuje upływ krwi ze świeżych ran. Pije się także herbatkę w chorobach piersiowych i gardła z dobrym skutkiem.

Opis: Łodyga wzwyż nieco rozgałęziona, kanciasto-skrzydlata, sz[illegible]kryta; liście wielkie lancetowate, szorstkie, całobrzegie, naprzeciwległe, ku nasadzie zwężone, po łodydze zbiegające; kwiaty wprzód fioletowo, potem blado-czerwone, lub białe albo białawo-żółte, dzwonkowate, stoją na wierzchołku łodygi i w kącikach liści na skrętkach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)